

Mitosierdzie*

Jean Raspail

1960

Jadalnia była tak brzydka, że aż sprawiała wrażenie ubogiej. Jej ściany pokrywała bura tapeta, na której powtarzały się nieforemne kwiaty otoczone amebami. Równie szpetny był zegar nad kominem, nakrapiane wilgocią litografie i gipsowy święty Michał z koślawą włócznią... W przeciwieństwie do mnichów niewielu księży ma dobry gust. Gdyby go mieli, jakżeż byłby on nie na miejscu. Dlatego właśnie w zaciszu domowym towarzyszy im materialna brzydota mimo szlachetności murów, które często ich goszczą...

Podczas posiłku trzej księży niewiele się odzywali. Niewiele się znali. Spora różnica wieku nie ułatwiała im rozmowy. Pod abażurem dębowej lampy, której krawędź była odchylona, tak żeby lepiej można było korzystać ze światła jedynej żarówki, ksiądz biskup Anselmos popijał napar z lipy dla staruszków, a dwaj pozostali kawę. Pierwszy z nich, ksiądz kanonik Jacquelin, generalny wikariusz, wyprostowany na swoim krześle, z łokciem uniesionym wysoko, osiłek w sutannie o spojrzeniu pułkownika, czarnowłosy, kwadratowa czaszka. Drugi, ksiądz Giordans, z nosem w filiżance, młody mężczyzna o jasnych włosach i błędnych oczach, pochylonym karku, chudych ramionach i długich dłoniach, wyglądał na mocno znudzonego. Siostra Cecylia sprzątnęła ze stołu. Następnie zmiotła okruszki prawą ręką do lewej dłoni. Mała, szeroka, czerwona, zwyczajna i solidna dziewczyna z gospodarstwa, ubrana jak zakonnica. Przed biskupem jej ręka zahaczała się i otoczyła płamy na obrusie tak, żeby ich nie rozmazać.

– Bardzo przepraszam, siostrze – powiedział biskup. – Postaram się bardziej uważać, ale nawykłem do ceratowych obrusów... Jadałem w pośpiechu i sam siebie obsługiwałem. Plebania w Chamboraud była biedna. W Nivoise wszystkie plebanie są biedne.

Jean Raspail

* Fragment niedokończony powieści Jeana Rapaila, wydanej w maju 2015 r. nakładem wydawnictwa Robert Laffont.

Zastanawiam się nawet, czy biskup tej diecezji nie jest jedynym księdzem, który może sobie pozwolić na jądanie każdego dnia na czystym obrusie. Czy to właściwe? Może wystarczyłoby tylko w niedzielę?

Siostra Cecylia uśmiechnęła się. To był jej czwarty biskup w ciągu trzydziestu lat. Ten ekscelecja od razu wydał się jej sympatyczny, prawdopodobnie dlatego, że nie umiał jeść zbyt czysto, odgadywał jej proste myśli, takie jak te przed chwilą, o plamach na obrusie, i dlatego, że wyglądał na dobrego człowieka, no i był stąd.

– W niedzielę i we wszystkie inne dni tygodnia – odpowiedziała wesoło siostra. – W naszych szafkach są całe stopy obrusów. Stara robota, wszystko wyszywane przez panie z miasta.

– Pewnie są warte dużo pieniędzy – powiedział biskup, który myślał o Chamboraud, dziurawych prześcieradłach, popękanej ceracie, o swoim fotelu wyplatany słomą, stojącym blisko kominka, który grzał tak słabo zimą, wiosną, jesienią, wątłym ogniem pośrodku wsi, otoczonym innymi wåtłymi ogniami, szybko gaszonymi z powodu kosztów. Dwa tysiące dusz wcześniej rzuconych w noc.

„Sprzeda je! Założę się, że sprzeda obrusy, a zaraz potem srebra. Przysłali nam tutaj świętego Franciszka!” – myślał ksiądz kanonik Jacquelin. Myślał jednak bez złośliwości, raczej jak ktoś, kogo nie zaskakują starcze dziwactwa i kto miłosiernie je przyjmuje. Przeniesiono go do Vendée z katedry w Luçon, jego, księdza Jacquelineina, prezbitera, który miał wyrosnąć na biskupa w tej diecezji bez kapłanów i bez powołań, która wzywała na ratunek wszystkie diecezje Francji. W wieku trzydziestu ośmiu lat został mianowany kanonikiem i generalnym wikariuszem Nivoix i dano mu do zrozumienia, że później, kiedy odejdzie umierający już biskup... i wbrew wszelkim oczekiwaniom, kiedy nastał ten dzień, w jego czerwonej i wytartej szacie obudzili innego starca, nikomu nieznanego księdza dziekana, i zrobili z niego biskupa w wieku siedemdziesięciu czterech lat! Tak jakby biskupstwo Nivoix nie zagnało do tej pory wystarczającej liczby dostojników u progu starości, parszywa diecezja, zacofana, szatańska, gdzie wszystko należałoby zrobić od nowa, odbudować! Co to powiedział kardynał? „Wiem, co pan o tym myśli, panie Jacquelin, i bez wątpienia

ma pan rację. Jest pan człowiekiem czynu, nadejdzie pańska kolej. Ale w Nivoise wszystko jest tak niskie, wszystko tak nieszczęśliwie się układa, że na teraz najlepiej jest się modlić. Ksiądz Anselmos jest człowiekiem modlitwy. Jego ekscelencja Anselmos będzie się modlił. A pan później zbierze plony...”. Zbierze plony, zbierze plony! Co to w ogóle za język?! Stare słowa w sam raz pasujące do spotkania na szczycie tego starego Kościoła! Budować na nowo, tak należało powiedzieć. Żeby tylko Bóg zechciał dać na to jeszcze czas, wzdychał ksiądz kanonik Jacquelin, a on żeby przestał myśleć z taką niechęcią o wczorajszej sakrze. Mizerna była ta ceremonia, kościół w dwóch trzecich pusty, w pierwszym rzędzie bigotki, parę Dzieci Maryi, wszystkie takie niezdarne, i ta szczupła delegacja z Chamboraud. Znudzony podprefekt w tym swoim uniformie, burmistrz na ołowianych nogach i jakaś pięćdziesiątka gapiów, która czyhała na biskupa, bo był ubrany na czerwono, nigdy wcześniej nie był w Nivoix i wysiadł z pięknego, przedwojennego samochodu, kiedy biły dzwony..

– Zrozumiano – podjął biskup – będziemy codziennie jeść na obrusie. Widziałem kwiaty w ogrodzie. Szybko się tutaj pojawiają. Bo w Chamboraud przy tym zimnie, które mieliśmy... Siostra Cecylia będzie stawiać kwiaty na obrusie i będziemy zapraszać księży, zwłaszcza młodych.

– Znam takich, którzy będą tym raczej zaskoczeni – stwierdził główny wikariusz.

– A to dlaczego?

– Ksiądz biskup Perrin obawiał się młodych księży, ekscelencjo. Nie śmiem powiedzieć, że ich nie lubił. Raczej się ich obawiał, to jest właściwe określenie. Taką miał obsesję, może przyczyną był jego wiek i zły stan zdrowia. Tak czy owak, unikał ich. Zawsze pod jakimś pretekstem odsyłał ich do mnie, zamiast samemu ich przyjmować.

– Aż do tego stopnia... – ze smutkiem mruknął biskup. A później powiedział już głośno: – Będziemy ich podejmować po dwóch lub trzech naraz, regularnie. Każdy szybko będzie miał swoją kolej, jest ich przecież tak niewiele. Będą spali w pokojach na drugim piętrze, o ile tylko w szafkach siostry Cecylii kryje się tyle prześcieradeł, co obrusów. A jeśli będą się nudzić przy swoim starym biskupie, co z łatwością zrozumiem, wyślemy ich do kina, na nasz koszt.

– Do kina? – zdziwił się główny wikariusz. – Do kina?

Nie widział w tym nic niewłaściwego. Ludzie w Nivoix byli przyzwyczajeni do jego obecności, kiedy w jedynym kinie w mieście puszczano western albo kryminał. Ale bardzo dziwiło go to, żeby taki miał być pierwszy pomysł biskupa, który dopiero co został mianowany. Czyż nie było stu innych, bardziej naglących problemów?

– Do kina – powtórzył biskup, który sprawiał wrażenie, że go to bawi. – Panie Giordans, czy w Nivoix grają dobre filmy?

Młody ksiądz poczerwieniał i wybełkotał:

– Ja... Ja nie wiem, ekscelencjo. Nigdy nie byłem w Nivoix.

Ciekawy chłopiec, myślał biskup. Nie wygląda na głupiego, ale za każdym razem, kiedy się do niego zwracam, wydaje się zupełnie oszalały ze strachu. Trzy słowa i już milknie. Czy zacząłem aż tak onieśmielać?

– Ksiądz biskup Perrin na to nie pozwalał – wyjaśnił kanonik Jacquelin. Nie podobała mu się myśl, że w nocy na ulicy można spotkać w mieście księdza. Nigdy nie mogłem wpłynąć na zmianę jego decyzji. Nie podobało mu się, nawet kiedy ja, jego główny wikariusz, po pewnej godzinie byłem na zewnątrz. Zawsze szedł spać ostatni po tym, jak już się upewnił, że wszyscy wrócili.

– Jest to jakiś punkt widzenia – powiedział ostrożnie biskup. – No ale jednak kino! Kiedy byłem proboszczem w Chamboraud...

Usiadł głębiej na swoim krześle, złożył ręce na pasie i odkaszlnął... Przypomniał księdzu kanonikowi Jacquelinowi jego dziadka, starca, który zwykł bajdurzyć i zawsze opowiadać tę samą historię.

– Kiedy byłem księdzem w Chamboraud – powtórzył biskup – moim sąsiadem, było to dwadzieścia lat temu, był piekarz, który kochał kino. W Chamboraud nie było kina i zresztą ciągle nie ma. Raz w miesiącu, w poniedziałek, piekarz zamykał sklepik i o piątej rano jechał swoją ciężarówką do Nivoix, do kina. To była jego jedyna rozrywka. Pewnego dnia powiedział do mnie: „Księżę proboszczu, niech ksiądz w poniedziałek pojedzie ze mną, trochę się ksiądz oderwie od tego wszystkiego. Płacę za księdza bilet”. Nie krygowałem się, zgodziłem się. Przez piętnaście lat jeździłem razem z nim. Znać tę drogę, sto piętnaście kilometrów zakrętów. Wracaliśmy około piątej nad ranem. Piekarz od razu zabierał się do robienia chleba. Ja też się nie kładłem. Korzystałem z tego czasu, robiłem gruntowne porządki, coś prałem, sprzątałem. Dzie-

kowałem Panu Bogu za uprzejmość piekarza, a o siódmej rano szedłem odprawić mszę. Pięć lat temu piekarz zmarł i nikt już mnie nie zabierał do Nivoix do kina.

Wikariusz grzecznie słuchał opowieści, ukrywając jednocześnie swoje zażenowanie i rozdrażnienie. Nigdy wcześniej ksiądz biskup Anselmos tak długo nie mówił. I to na jaki temat? Dechrystianizacji wsi? Reformy liturgii? Braku powołań? Nie! O comiesięcznej wycieczce do kina, które zajmowało w jego życiu tak szczególne miejsce, o wspomnieniu, które stało się jego manią i o którym pewnie często przyjdzie im słuchać...

– Pewnie zastanawiacie się, dlaczego wam o tym opowiadał? – powiedział ksiądz biskup Anselmos. – W ciągu tych ostatnich lat czułem się bardzo samotny. W Vendée nie mogliście tego zaznać. Jesteście otoczeni przejawami dobrej woli, zapraszają was na obiady, macie samochód, wasi współbracia są niedaleko, a w każdej wsi jest proboszcz. Nie odprawiacie mszy przed pustymi krzesłami. Pan Giordans, który jest stąd, na pewno mnie rozumie.

Ksiądz Giordans spuścił oczy. To niewiarygodne, zauważył ponownie biskup, jak łatwo ten młody człowiek przybiera postawę winnego. Co takiego powiedziałem, co miałyby go do tego stopnia zaniepokoić?

– Zakonnicy mają więcej szczęścia niż my – ciągnął dalej. – Samotność jest taka straszna! To poniedziałkowe kino mnie ratowało. Tak bardzo nie mogłem się go doczekać, że aż to sobie często wyrzucałem, a przecież nie popełniałem żadnego grzechu. Wręcz przeciwnie, byłem weselszy, bardziej towarzyski, starannie pełniłem moją posługę. Zdałem sobie z tego sprawę po śmierci piekarza. Pewnie wydaje się to wam dziecinne, a jednak tak właśnie było... Niewiele wystarczy, żeby znosić samotność. Nie prosiłem o nic więcej.

– A lektura, ekscelencjo? – zapytał główny wikariusz. – Radio, telewizja, spacer...

– To samotne rozrywki, panie Jacquelin, które nie sprawiają, że jest się mniej wyizolowanym, mniej samotnym. Nie doskwiera panu samotność?

– Tak, ekscelencjo, ale modlitwa...

– Oczywiście, na końcu modlitwy jest Bóg. Dużo się modliłem. Ale trzeba by być świętym, żeby Go w niej odnajdywać każdego

dnia, w każdej chwili i nie czuć się samotnym, a ja nie jestem świętym.

Ksiądz kanonik zbierał myśli. Lubił proste myśli i to, co wydało mu się zupełnie jasne, to to, że jego biskup właśnie porównywał modlitwę do... kina!

– Chciałbym, żebyś mnie dobrze zrozumiał, mój przyjacielu. Bóg nie ma nic przeciwko paru rozrywkom swoich księży, pod warunkiem że są one odpowiednie dla ich stanu. Modlitwa to za mało. Na tym polega nasz dramat, to przyczyna naszego smutku, zwłaszcza w tej zagubionej diecezji. Samotność... Jak wielkie potrafi się spustoszenie! Jak wiele złego już sprawiła! Niczego nie usprawiedliwia, ale tak wiele tłumaczy. Broniełem się przed nią tak, jak mogłem.

Ta dziecinada, to kino, które tak was dziwi, przynajmniej wypełniało luki w moich myślach. Inni nie mieli nic. Nic, tylko niedowiarków w swoich wioskach i modlitwę, która stopniowo im się wymykała...

– Rozumiem, ekscelencjo – powiedział główny wikariusz.

Rzeczywiście, rozumiał, że ten mały, zmęczony starzec prowadził rozmowę dokładnie tak, jak chciał, a przez ten niespodziewany wybieg doprowadził ją do miejsca, o które mu chodziło: tej samej troski, tej samej obsesji, która rzucała cień na ostatnie dwa lata życia księdza biskupa Perrina od czasu zbrodni proboszcza z Bief. Nieszczęśni biskupi z Nivoix, zjednoczeni tym samym cierpieniem... Pierwszy, który nigdy o nim nie mówił i bezustannie przeżywał je w ciszy, drugi, który dopiero co przybył, a już, prawie wesoło, bierze na siebie to jarzmo. Należy zrobić z tym porządek, natychmiast się tym zająć, bez świadków.

– Panie Giordans – powiedział – powinien pan udać się już na spoczynek. Jutro wstajemy wcześniej rano, a to pan ma prowadzić. To wspaniały kierowca, ekscelencjo, ale ja lubię przede wszystkim przytomnych kierowców. Ekscelencja wyobraża nas sobie leżących w rowie, i to pierwszego dnia pasterskiego objazdu? Tutaj ciągle się jeszcze wierzy w moc złego spojrzenia.

Ksiądz Giordans szybko przeprosił i wyszedł. Patrząc na niego, miało się przede wszystkim wrażenie, że chce się stać niewidzialny. Nawet drzwi zamknęły się za nim bezszelestnie. Pozostali mężczyźni usiedli przy kominku, wokół którego stało pół tuzina nie-

zdarnych wolterowskich foteli, obitych wiekowym już aksamitem, mających upodabniać to miejsce do biskupiego salonu.

– Wysyła go pan spać jak dziecko – powiedział biskup.

– Nabrałem takiego zwyczaju przy poprzedniku jego ekscelencji. Myślałem, że chciał ekscelencja ze mną porozmawiać.

– Jak nieszczęśliwe dziecko – powtórzył biskup. – Jaka smutna twarz! Nie otwiera ust, uparcie wpatruje się w podłogę albo w sufit. Odkąd tu jestem, chyba ani razu nie słyszałem jego śmiechu.

– W obecności księdza biskupa Perrina też się nigdy nie śmiał ani w mojej. Taki zwyczaj, bez wątpienia...

– Już drugi raz mówi mi ksiądz o zwyczaju. Czy ksiądz Giordans już wcześniej miał zwyczaj czuć się tak osaczonym?

– Mniej więcej tak, ekscelencjo, ksiądz Giordans przyszedł do biskupstwa parę tygodni przede mną, wezwany na stanowisko sekretarza księdza biskupa Perrina... Trochę sekretarza, a trochę więźnia – dodał z wahaniem.

– Coś mi chyba umknęło. Mówił mi ksiądz przed chwilą, że ksiądz biskup Perrin nie lubił towarzystwa młodych księży. Ksiądz Giordans wygląda jednak na bardzo młodego, a więc jaki był powód tej nominacji? Dlaczego nie dostał swojej parafii?

– Miał swoją parafię, ekscelencjo, z niej właśnie tutaj trafił. Był proboszczem w Argous, na północy diecezji.

– Argous! Argous! – powtórzył ponuro biskup. – Znam je. Parafia odpowiednia dla franciszkanina otoczonego wsparciem wspólnoty, ale nie dla tego młodego mężczyzny o blond włosach i anielskiej twarzy, bezbronnego. Potworni wieśniacy, skryte dusze, suche serca, wpadają w zwierzęcą furję. Tamtejsze dziewczyny-opętane, no chyba że mają powiększone wole. I do tego wszystkiego kazirodczy ojcowie, alkoholicy, wariaci... Biedny mały! Co się wydarzyło? Nie było żadnej suspensy, nie było zmiany diecezji, a więc...?

– Nic, czego nie można było naprawić, ekscelencjo, ale mało brakowało. Pewna młoda, ładna dziewczyna, którą zbyt często widywano w prezbiterium. Ksiądz Giordans niczym nie zawinił. Wszystko mi opowiedział. Uwierzyłem mu. Dziewczyna wynajdywała preteksty, prała jego bieliznę, przynosiła mu jajka, robiła dla niego ciasta i pożyczała książki. Kiedy spacerował po wsi, przypadkowo się pojawiała i przechadzała się u jego boku. Czuję

się mniej samotny. Nierozważny, ale mniej samotny. Nie protestował. Często się spowiadała, wymyślała grzechy, grzechy cielesne, do wyboru. Uczestniczyła w każdej porannej mszy, oczywiście sama, jego ekscelencja zna Argous. W kościele szlochała, a po mszy spieszyła do zakrystii. Mówiła o swojej niespokojnej duszy. Później o swoim niespokojnym sercu. Raz nawet zemdlała. Najprawdopodobniej symulowała po to, żeby ksiądz Giordans wziął ją w ramiona. Pewnej nocy pukała do drzwi prezbiterium. Nie otworzył. Długo była cicho za zamkniętymi drzwiami, ale słyszał, jak płacze. Wyznawała mu miłość. Chciała mu się oddać...

– Przyjemność kuszenia – powiedział biskup. – Często pułapka. Sprowadzanie duszy na złą drogę. Może nawet rozkosz. Panuje się nad tym, ale to występki. Spowiadałem się z tego, kiedyś... A rodzice tej dziewczyny? Nie mogli interweniować? W tej okolicy bije się córki za byle co, łoi się im skórę za jedno tak lub nie, zwłaszcza kiedy mają dwadzieścia lat...

– Rodzice? Wieśniacy z Argous, ekscelencjo... Wszystko wskazuje na to, że to bawiło jej ojca. Kiedy się upił w wiejskiej kafejce, mówił wszystkim dookoła, bijąc się rękami po udach, o swoim przyszłym zięciu, księżulku. To burmistrz poskarżył się biskupowi w liście pełnym nienawiści, plugawym. Ksiądz biskup był wstrząśnięty. Powiedział tylko natychmiast wezwanemu księdzu Giordansowi: „Odtąd będziesz moim sekretarzem. Będę nad tobą czuwał, mój synu. Nie będzie w tej diecezji drugiego proboszcza z Bief...”. Nie wiem właściwie, którego z nich dwóch było bardziej żal, biskupa czy jego sekretarza-więźnia. Próbowałem przekonać księdza biskupa Perrina, żeby mu zaufał. Na próżno. Niczego nie słuchał. Jak ekscelencja zgadł przed chwilą, osaczył księdza Giordansa, tak jakby wszyscy księża z diecezji stali się tym jednym w jakimś sensie księdzem-symbolem, który go przytłaczał, w ciszy, w jego czujności i opiece. Innych, przynajmniej tych młodych, więcej nie oglądał ani ich nie znał. Udział ognia, udział Szatana, przypuszczam, że tak musiał o nich myśleć, bo nie zwierzał się nikomu. Bolesny koniec życia...

Wspaniały umysł, który zżerała obsesja i który powoli gasł, tym się właśnie stał, także uwięziony w swojej samotności. Sprawa proboszcza z Bief jest potwornym dramatem, który, to pewne, ugodził go w samo serce, ale mógł przynajmniej czerpać nadzieję

i wsparcie z przebywania ze swoim młodym klerem. To dobrzy księża, tak myślę. Nawet ksiądz Giordans, bo nie upadł, chociaż był już w potrzasku. No, wszystko ekscelencji powiedziałem.

– Niezupełnie, brakuje mi jeszcze pańskiego zdania o tej sprawie.

– Ależ, ekscelencjo, przecież właśnie je przedstawiłem. Ksiądz Giordans...

– Nie chodzi o księdza Giordansa, co do którego podzielim pański osąd, ale o Jacques'a Charlébègue'a, proboszcza z Bief. Ja też o nim myślę. Ksiądz nie?

– Tak, ekscelencjo, czasami. Jak najmniej, przyznaję. To znaczy nie jako o istocie cielesnej, taka myśl mnie odrzuca. Modłę się o zbawienie dla jego duszy każdego dnia, mając nadzieję, że moje prośby będą miały jakieś znaczenie.

– Doceniam pańską wiarę, mówię to bez kpiny, ale kiedy chodzi o ufanie jedynie w zasługi, które mają zadziałać. – Zrobił ręką wymijający gest. – Nie mam wątpliwości, że pańskie zasługi będą miały znaczenie i że zaważą, kiedy nadejdzie moment, w połączeniu z moimi, czego pokornie sobie życzę, i tymi księdza biskupa Perrina, który też się modlił, jestem pewien, razem z tymi wszystkimi klasztorami, które prosił o modlitwę, bo pisał w tej sprawie nawet do Włoch, Hiszpanii, do Ojców Białych w Afryce i do jezuitów w Kanadzie... Odkryłem tę listę w jego biurze, jest imponująca. Lecz nawet w obliczu takiej fali wsparcia przyszła do mnie pewna obawa. Zapomnieliśmy, że ta dusza, nad którą spotyka się tyle modlitw, mieszka w żywej istocie. On istnieje ciągle w tym świecie, niedaleko stąd, ludzkie stworzenie, które nazywa się Jacques Charlébègue, kapłan...

– *Suspensa a divinis*, świętokradca i morderca, wstyd i nieszczęście kleru... Czy ekscelencja też da się jemu pożreć?

W podnieceniu główny wikary uderzał dłońmi w podłokietniki swojego fotela. Dopiero co proboszcz z Bief wpędził do grobu jednego biskupa, a już zabiera się za następnego i wszystko zaraz zaczyna się od nowa, smutek, zwątpienie, lęk, marazm. Jak z tego wyjść, Panie Boże?

– Kapłan – kontynuował biskup ciągle spokojnym tonem. – Co dla niego zrobiono w ciągu tych ostatnich pięciu lat, od kiedy jest w więzieniu? Albo dla jego żyjącej duszy, jeśli pan woli? Czy próbowano czegoś innego poza modlitwą?

Cóż za niezwykle pytanie jak na biskupa, którego kardynał tak chwalił za stałość w modlitwie! Kanonik Jacqueline odetchnął z ulgą, tak jakby odkrywał biskupa Anselmosa w tej chwili, ciało zużyte, ale umysł jasny, oryginalny, mowa klarowna, mózg prowadzący taki rodzaj wywodu bez lęku przed słowami i obawy przed wnioskami. Nie był już teraz sam.

– Nie wiem, ekscelencjo – odpowiedział – podejrzewam, że nie. Na ten temat ksiądz biskup Perrin nigdy ze mną nie rozmawiał. Być może kapelan więzienny mógłby nam coś o tym powiedzieć?

– Kapelan więzienny? Znalazłem list w tym samym zbiorze dokumentów, gdzie właśnie jest mowa o kapelanie, list Jacques’a Charlébègue’a do jego biskupa.

– Nie wiedziałem o istnieniu tego listu. Nie znam tych dokumentów. Nie podejrzewałem nawet, że coś takiego istnieje.

– Proszę, niech pan czyta – powiedział biskup. – Ten list został napisany prawie cztery lata temu.

Wyciągnął do niego rękę z papierem w kratkę pokrytą dużym, kanciastym pismem:

W więzieniu, Clermont-Nivoise, cela 25
21 kwietnia 1956

Ekscelencjo,
ośmielam się do Jego Ekscelencji pisać pierwszy raz od czternastu miesięcy, od kiedy jestem w więzieniu. Albo trzynastu, już sam nie wiem. Nie liczę dni jak inni więźniowie, nie robię kresek na ścianie, ale narysowałem na niej duży krzyż. Bez trudu akceptuję to, że mam pozostać tutaj do końca mojego życia, jeśli na końcu jest spokój, kiedy zamkną mi oczy. Spokój nie przychodzi szybko, ucieka mi, tak jakby w tej celi razem ze mną został zamknięty Szatan. Więc wyźłobiłem krzyż. Wcierałem w niego trochę zupy, żeby nadać mu koloru, szary krzyż na białej ścianie. Jak w skromnym kościele, takim czystym. Jestem zarazem jego pastorem i jego jedynym wiernym w celi 25. W Bief w dni powszednie, a nawet w niektóre niedziele, przypominam sobie, że też nikogo nie było, a ja wołę moją nową kaplicę. Jest bardzo jasna. Przez zakratowane okno, pod sufitem, wpada ukośne światło... Po południu, kiedy słońce odchodzi, jest jak złoty promień schodzący z nieba, który

przypomina mi pierwszokomunijne obrazki. Długo się modłę, na kolanach, a Bóg odwiedza moją parafię.

Ostatnim razem, kiedy ksiądz kapelan przyszedł, właśnie kończyłem mój krzyż. Odmówił ukłęknięcia przed nim, nawet zwykłego przyklęknięcia przed opuszczeniem mojej celi. Twierdzi, że dokonuję profanacji i że nie będzie brał udziału w tej „parodii”. Nie chcę, żeby więcej do mnie przychodził. Kiedy tylko się pojawia, Bóg opuszcza moją kaplicę, opuszcza mnie spokój i odkrywam to, czym jestem, przestępcą i niegodnym księdzem, przeznaczonym dla Szatana. Podczas gdy sam w mojej kapliczce... Ten spokój, który wreszcie odnajduję, wobec mojego Boga, który jest obecny, a którego chciałby mnie pozbawić ksiądz kapelan, czy to jest „parodia”? Ekscelencjo, utwierdź swojego zagubionego syna. Czy Bóg mnie odwiedza? Czy odpowiada na moje wezwanie? Czy jest to raczej szaleństwo, które zagraża więźniowi?

Rzucam się do stóp Waszej Ekscelencji, błagam Go o oświecenie mnie.

Jacques Charlébègue
matrykuła R/1042

Pod listem, w lewym rogu, kilka słów dopisanych drżącą ręką, prawie nieczytelnych, które ksiądz kanonik Jacqueline odczytał, dlatego że znał księdza biskupa Perrina: „Odpowiedź niemożliwa. Trzeba się za niego modlić”.

– Bez odpowiedzi – powtórzył biskup, przytłoczony tym brakiem miłosierdzia. – Bez odpowiedzi, wyobraża to sobie ksiądz? Napisał trzy listy, mniej więcej w tym samym czasie, i na żaden z nich nie dostał odpowiedzi! Od tamtej pory cisza. Za tego nieszczęśnika modli się trzydzieści klasztorów, mój poprzednik dzień i noc zadreślał się myślą o nim, a jednak w ciągu czterech lat nikt nie umiał nic więcej zrobić z celą 25 i nikt się w niej nie pojawił. Z więzienia uczyniono grób. Czy w ogóle rozmawiał pan z jego kapelanem? Czy to nie jest prezbiter Clermont-Nivoise, ten mały, uparty i ograniczony starzec?

Główny wikariusz uśmiechnął się. No cóż, sutanna nie wyklucza pogardy dla starych głupców.

– W istocie, ekscelencjo – powiedział. – Prezbiter Clermont sprawuje tę posługę dodatkowo. Nie jest to dla niego duże obciążenie.

Nie ma zbyt wielu podopiecznych, a że więzienie jest stare, mówi się o planach jego zamknięcia.

– Panie Jacqueline! – głos biskupa uniósł się gniewem. – Rozdarta dusza Jacques’a Charlébègue’a nie jest dużym obciążeniem w pańskich oczach? Ja też jestem zdania, że w celi 25 mamy nową parafię, i bezzwłocznie będę mianować jej proboszcza. Znajdziemy innego kapelana niż ten prezbiter, nawet jeśli trzeba będzie zostawić jakąś wieś bez księdza. W sytuacji, w której jesteśmy...

– Ależ, ekscelencjo, ten człowiek jest szalony!

– Skąd pan to wie? Kto to panu powiedział?

– Prezbiter Clermont, właśnie on, kiedy przyjechał na spotkanie z księdzem biskupem Perrinem. Także lekarz więzienny mówił o tym biskupowi.

– I to panu wystarczy? To pana uspokoiło, uwolniło od ciężaru? Proboszcz z Bief przeraża pana, rozumiem to. Setki księży odczuwa to samo, a może nawet niektórzy z nich odkrywają w swojej duszy ukrytą obecność kolejnego proboszcza z Bief. Słabi zwątpili w Bożą łaskę, przepaść otworzyła się pod ich stopami. Ci, którzy porzucili sutannę i utracili wiarę dla miłości kobiety, zwłaszcza ci powinni odnaleźć drogę modlitwy, ale to o łaskę dla siebie samych błagali Boga. Wszyscy zatrzęśli się z trwogi i rzucili się na klęczniki. Jednak obawiam się, że tylko nieliczni drżeli z żalu, a pozostali chcieli jedynie utopić w potoku modlitwy obraz Jacques’a Charlébègue’a, a nie przyczynić się do zbawienia jego duszy. Wiem to, bo badałem moje własne sumienie, a badając je, rozumiem pan, żałuję, że tak się uniosłem. Wybacz mi, mój przyjacielu...

Wstał i podszedł do kufra, z którego wyciągnął dwa kieliszki wielkości naporstków. Napełnił je do połowy alkoholem o truskawkowym aromacie.

– Jeśli ma pan chęć, to proszę zapalić fajkę, panie Jacqueline, dym tytoniu mi nie przeszkadza.

Po chwili podjął znowu:

– Chciałbym, żebyś mnie dobrze zrozumiał, mój przyjacielu. To domniemane szaleństwo jest nam wszystkim za bardzo na rękę. Gdyby można było je wykrzyczeć pod wszystkimi dachami, tak aby za bardzo nie ruszać tego błota, jak dobra by to była nowina dla całego katolickiego kapłaństwa, wreszcie obmytego z publicznego brudu! Należałoby podziękować prezbiterowi Clermont.

Koniec z wiarołomnością, koniec ze świętokradztwem, koniec z krwią na wyświęconych rękach, koniec z wybaczeniem, którego wyrwa serce z piersi: Bóg otwiera ramiona przed niepoczytalnymi i przyjmuje szaleńca do raju... Czy nie myślał pan o tym tak jak ja?

Generalny wikariusz zaciągnął się fajką i zmusił do myślenia. Jego wiara nie zajmowała się takimi subtelnościami. W innych czasach, bez nienawiści i w imię Boga, bez wahania wysyłałby na stos heretyków i czarownice, odmawiał samobójcom pochówek na cmentarzu, ekskomunikował ksiąząt-cudzołożników, egzorcyzmował szaleńców i inne monstra chluśnięciami święconej wody i łacińskimi formułami. W ciągu wieków to właśnie tacy ludzie jak on budowali potęgę Kościoła katolickiego, niedostępni dla tej słabości, temu niszczącemu luksusowi nowoczesnej duszy, którą jest zwątpienie i nadmierna tolerancja. Dusza do zbawienia, zbawiona dusza proboszcza z Bief? Czy to znaczy, że najstraszniejsze zbrodnie miałyby lepiej prowadzić do Boga, bardziej niż ta stroma ścieżka, którą z takim trudem szedł kanonik Jacquelin, prowadząc do wiecznych szczytów swoje nieliczne stadko wiernych? Raj miałyby więc przypominać jedną z tych wysokich gór, które zdobywają dzielni alpinieści, kładąc na szalę tysiące cierpień, a tymczasem na jej drugim zboczcu miałyby być wygodna droga prowadząca turystów do tego samego szczytu. Tą drogą bezwstydnie zmierzaliby ludzie katujący dzieci, okradający biednych, sodomici, gwałciciele dziewczynek, matkobójcy, świętokradczy księża, księża wywołujący skandale, księża mordercy... I wszyscy śmialiby się w głos na szczycie, zebrani wokół proboszcza z Bief, z tych naiwnie podejmowanych wysiłków sznura sprawiedliwych, pokazywaliby ich sobie palcami, śmiejąc się przy tym rubasznie. Jean Jacquelin zmagający się ze skalistą krawędzią. I Bóg miałby na to pozwalać? Bez wątpienia Bóg pozwoliłby na to, bo jest miłosierny.

– Nie wiem, czy Jacques Charlébègue jest szalony, ekscelencjo. Wiem, że chciałbym, żeby tak właśnie było.

Biskup przyglądał mu się z dobrocią.

– Bóg zbawił każdego z nas, mój przyjacielu. To ABC wiary. Bogu w ogóle nie jest potrzebne to szaleństwo. W nieskończoności odkupionych na krzyżu grzechów zbrodnia tego nieszczęsnego Charlébègue'a waży tak dużo i tak niewiele zarazem. Dlaczego

chcieć, by był szalony, skoro byłoby tak piękne i tak godne Boga uratować go takiego, jakim jest, nędznego i porzuconego?

Ksiądz biskup Anselmos kichnął i wydmuchał nos w wielką kraciastą chustkę, jak wieśniak, którym przecież był.

– Pozwoli pan, że wrócimy do tego listu?

– Dokładnie, ekscelencjo. Niech jego ekscelencja zwróci uwagę na ten styl. Zupełnie jakby pisało go siedmioletnie dziecko. Te krótkie zdania, które tłoczą się bez ładu i składu. Te dziecięce powtórzenia: ciasto jest ładne, lubię to ciasto, mój kościół jest całkiem prosty, lubię mój kościół, modłę się w nim długo na kolanach... Ten strach przed kapelanem... Zupełnie jakby był Babą Jagą... I te wszystkie symbole, którymi, w swoim szaleństwie, odtwarza nieistniejący już świat: swoją kaplicę, swój krzyż, swoją parafię, przyklęknięcia, aż do tego światła z obrazka świętego, które pada z nieba. Bawi się w księdza! Czy nie widzi ekscelencja dowodów na jego szaleństwo lub przynajmniej na rozstrojenie nerwowe?

– A to dlaczego? – zapytał ksiądz biskup Anselmos. – Mój przyjacielu, wiesz równie dobrze jak ja, że my, księża katoliccy, żyjemy w świecie symboli. Wieczna lampka przed tabernakulum, milczenie dzwonów w Wielki Piątek, dym z kadzidła, kolor naszych ornatów, porządek liturgii, pastorał. Tych symboli są setki! Z niepokojem obserwuję, jak stają się coraz słabsze. To właśnie one nas ratują, kiedy popełniamy grzech przeciw wierze. W tym, że ksiądz Charlébègue gromadzi je, będąc w więzieniu, widzę nie szaleństwo, ale desperacki poryw kapłana upadłego na drodze do zbawienia.

Nastąpił moment ciszy, w którym obraz Jacques'a Charlébègue'a wypełnił serca obu księży.

– Wiem już teraz, że ekscelencja jest dobrym człowiekiem – powiedział ksiądz kanonik Jacqueline. – Prawdziwa dobroć rzadko występuje w Kościele, tak jak we wszystkich zbiorowiskach ludzkich, nauczyłem się tego. Jestem synem jego ekscelencji i oddaję jemu cześć. Ale jestem też generalnym wikariuszem jego ekscelencji i muszę go bronić przed jego własną dobrocią. Jeśli proboszcz z Bief nie jest szaleńcem, to kim? Potworem! Niech ekscelencja przypomni sobie okoliczności, przerażające szczegóły, jego postawę w czasie procesu. Potrzebny byłby jego ekscelencji adwokat diabła...

Biskup wstał, żwawo podszedł do kartonu wypełnionego książkami, postawionego w rogu na stole.

– To moja cała biblioteka – powiedział. – Nie miałem jeszcze czasu jej uporządkować. Mam pięćdziesiąt książek. Nigdy nie miałem więcej. Powiem panu dlaczego: nudziły mnie. Nie jestem wykształconym człowiekiem. A teraz, tak jak wielu starszych ludzi, czytam ciągle te same rzeczy. To mniej męczy umysł. W gruncie rzeczy te książki niczego mnie nie nauczyły, chociaż przykładałem się do ich lektury. Czytałem je z ołówkiem w rękę, robiłem notatki, które zatrzymywałem. Dlatego będę umiał panu odpowiedzieć.

Wyciągnął z kartonu sznurowaną, pożółkłą i zniszczoną książkę, usiadł, poprawił okulary, przekartkował tom, śliniąc indeks i badając fiszki, które wystawały spośród wielu stron.

– Spójrzmy... Nie, to nie to... Tak, jest. Bernanos. *Pamiętnik wiejskiego proboszcza*...

Zaczął czytać jak nauczyciel dyktando:

– „Zły kapłan to jest potwór. Potworności nie można mierzyć żadną zwykłą miarą. Kto może znać zamysły Boga co do potwora? Do czego on służy? Jakie jest nadprzyrodzone znaczenie takiej zdumiewającej niełaski?”¹.

– Możliwe, że na swój sposób Bernanos je odnalazł – powiedział generalny wikariusz. – Zbyt głęboko drążył w ludzkich duszach. Zdaje się, że to lubił. Kiedy byłem młodym księdzem, nie cierpiałem jego książek. Nie ufam laikom, którzy piszą o księżach. Oni nie wiedzą. I nigdy się nie dowiedzą. Jeśli proboszcz z Bief nie jest szalony, jeśli naprawdę jest potworem, to czy należy się doszukiwać w jego hańbie nadprzyrodzonego znaczenia? Niech ekscelencja sobie dobrze przypomni...

Podniósł się i przez kilka dłuższych chwil chodził w tę i z powrotem. Następnie zatrzymał się za fotelem biskupa.

– Stałem za jego ekscelencją – powiedział – bo nie chcę widzieć jego oczu. Zranię dobroć ekscelencji, ale muszę przypomnieć fakty. Ksiądz Jacques Charlébègue zamordował swoją kochankę, która była w szóstym miesiącu ciąży, młodą dziewczynę, dwudziestoletnią, która miała na imię Rosa. Zamordował ją w nocy, na wsi, niedaleko starej kalwarii, na terenie swojej własnej parafii. Uduślił ją. Później całkiem rozebrał. Zdarł z niej

¹ G. Bernanos, *Pamiętnik wiejskiego proboszcza*, przeł. W. Rogowicz, Warszawa, s. 63.

suknię i bieliznę, porozrzucił rzeczy dookoła ciała. Tak bardzo pastwił się nad tym ciałem, że żandarmi na początku myśleli, że to zbrodnia jakiegoś sadysty..

Biskup słuchał go, siedząc nieruchomo w swoim fotelu. Kanonik Jacqueline zamilkła. W pokoju słyhać było tylko lekki świst jego przyspieszonego oddechu.

– Mów dalej, mój przyjacielu – powiedział biskup.

– Kiedy ją znaleziono, jej głowa była zmiądzona od uderzeń kamieniem, jej brzuch otwarty na dwadzieścia centymetrów, rozcięty od pępka do łona, zmasakrowany, tak jakby morderca posługiwał się tęym nożem. Dookoła ciała udeptana ziemia, w którą wsiąkała cała krew dziewczyny. Wyglądało to tak, jakby morderca całymi godzinami krążył wokół swojej martwej ofiary. Dziecko znaleziono przy matce. Ciągle łączyła je pępowina. To była dziewczynka. Lekarz sądowy powiedział, że z całą pewnością żyła, zanim została zabita, nożem, i... to zbyt straszne..

Biskup dokończył to zdanie spokojnym, beznamiętnym tonem:

– A jej twarz była cała pocięta. Kiedy pytano księdza Charlebègue’a, dlaczego tak się nad nią pastwił, podawał różne odpowiedzi. Że wyrwał dziecko z brzucha matki po to, żeby je ochrzcić. Powiedział też, że zmasakrował ją po to, żeby ukryć podobieństwo i żeby skandal i zbrodnia nie splamiły sutanny, którą nosił. Ale że nadał dziecku chrzcielne imię.

– Wiem – wyszeptał generalny wikariusz: – Mario... Mario, ja ciebie chrzczę w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego... Mój Boże, pośród całej tej krwi...

– To jego własne słowa – powiedział biskup. – Znam akta. Znam je na pamięć. To pierwsza rzecz, którą odkryłem w archiwum księdza biskupa Perrina. Były czytane w kółko. Znalazłem na nich ślady łez. I jeśli się nie mylę, ty też teraz płaczesz, mój przyjacielu. Usiądź przy mnie, uspokój się. Bóg ciebie słucha! Ja jednak nigdy nie płaczę, ani nad sobą samym, ani nad innymi. Dlaczego trzeba tak szerokich ramion jak twoje, żeby mogły unosić się od szlochu?

– Nie chcę już nigdy więcej o tym myśleć – odezwał się w końcu generalny wikariusz. – Bóg osądzi proboszcza z Bief. On już nie należy do nas.

– Teraz już pana poznaję, panie Jacqueline. Pełen woli, ostry, pewny siebie. To nie zawsze są zalety, ale takim ciebie wolę, bo

właśnie taki będziesz mógł mi pomóc. Proboszcz z Bief należy do nas. Będziemy o nim bezustannie myśleć.

– Ekscelencjo, proszę..

– Mój czcigodny przyjacielu, posłuchaj mnie. Nie wierzę w istnienie księży bez powołania. To naprawdę nie jest zawód. Najbiedniejszy wieśniak z Nivoise żyje lepiej niż proboszcz Argous czy proboszcz z Bief. W wieczór ordynacji nie ma złych księży. Nawet najbardziej chwiejni marzą o świętości, a nie o kobietach. A kiedy dochodzi do upadku, trzeba sobie wyobrazić odwagę, jaką musi mieć ksiądz, żeby wyrzec się swojego stanu, sutanny, uświęconej natury, jego zobowiązań, szacunku, którym jest otoczony, tak by mógł przeczyc samemu sobie, każdego dnia, w każdej minucie swojej służby, od kiedy przekroczył tę granicę. Trzeba smutnej odwagi, żeby wyrzec się Boga i zadowolić się banalnym życiem mężczyzny po to, by odnaleźć żalną formę małego szczęścia. Proboszcz z Bief nie był człowiekiem tego pokroju. Zawsze liczył się z Bogiem.

– Wolę byłych księży – ponuro stwierdził generalny wikariusz.

Zegar wybił godzinę jedenastą. Ogień dogasał w kominku.

– Boskie zamiary, wszystko w nich jest – powiedział biskup.

– W podwójnej zbrodni proboszcza z Bief odkrywam straszliwą obecność Boga...

Generalny wikariusz podniósł się.

– Robi się późno. Musi ekscelencja być zmęczony. Moim obowiązkiem jest zadanie jednego pytania: czy ekscelencja jasno myśli o tym, co przed chwilą powiedział?

Ksiądz biskup Anselmos wziął maluteńki łyżeczek truskawkowej nalewki i odstawił kieliszek na podstawkę. W ciszy pokoju kryształ krótko zadźwięczał.

– Panie Jacqueline – odpowiedział wesoło – minął już tydzień, odkąd jestem pańskim biskupem. Czy myślisz, że mogłem zmienić się w tak krótkim czasie, nawet biorąc pod uwagę mój wiek? Czy myślisz, że kardynał z nuncjuszem mogli wybrać nieprzewidywalnego, niemądrego biskupa? Pomóż mi, zamiast wątpić w moje władze umysłowe.

– Próbowałem, ekscelencjo.

– Na swój sposób, mój przyjacielu. Odtąd będzie pan musiał robić to na mój sposób. Ksiądz Charlébègue mógł opuścić swoją parafię, uciec z dziewczyną w ciąży, gdzieś się urządzać, nieznanym

między nieznanymi, pracować. Wie pan przecież, równie dobrze jak ja, że Kościół całkiem by go nie opuścił. Staramy się przeszerogowywać byłych księży, którzy są bezbronni wobec rzeczywistości. Ograniczamy ich upadek. Pomagamy złych księżom stać się godnymi ludźmi. Proboszcz z Bief nie chciał takiej godności z przeceny. Zabił z miłości i z bojaźni Bożej. Zabił, bo próbował zmasać w oczach ludzi błąd Bożego kapłana. Może to, co nazywasz jego szaleństwem, jest po prostu mistycyzmem, wykolejonym, ale jednak mistycyzmem. Wyobrażał sobie, że kapłanowi, którym był, przywraca jego samotność i czystość, bez skandalu, bez wiedzy ludzi, tak żeby nie ucierpiał na tym honor Boga. Wobec Boga byłby sam, w przerażającej konfrontacji z największą głębią swojej duszy. Myślę, że tego właśnie chciał. Policja i sprawiedliwość zdecydowały inaczej... A gdyby nie był tym kapłanem przepelnionym obecnością Boga, nie popełniłby tej zbrodni. Do tego jedynego wniosku prowadzą mnie moje przemyślenia.

– A więc co robić? – zapytał generalny wikariusz.

– Przeczytać pozostałe dwa listy, mój przyjacielu – odpowiedział biskup – a później położyć się i rozmyślać.

Podał mu dwie kartki papieru w kratkę, zapisane ołówkiem, tym samym starannym pismem:

W więzieniu, Clermont-Nivoise, cela 25
2 czerwca 1956 roku

Ekscelencjo,
tak bardzo czekałem, ale nie otrzymałem odpowiedzi na mój list z 21 kwietnia. Bez wątpienia Jego Ekscelencja go nie dostał, bo inaczej na pewno udzieliliby swojemu synowi pocieszenia, o które prosił. Pewnie powierzono mój list księdzu kapelanowi, który celowo go wyrzucił. On mnie nie lubi. Kiedy był tutaj ostatnio, był bardzo złośliwy, mówiąc o drodze krzyżowej, którą narysowałem na ścianie. A więc wyciągnąłem język, krzyczałem, pokazywałem mu palcami rogi. Udawałem szalonego, żeby więcej tutaj nie wrócił. Zrozumiał. Odtąd go nie widziałem. Oczywiście nie jestem szalony! Ale więzień tak, jak może, broni królestwa Bożego. Powierzam ten list strażnikowi, który stał się moim zaufanym przyjacielem.

Ekscelencjo, wczoraj jeden z uwięzionych zmarł nagle na moich oczach, na podwórzu, podczas spaceru. Usłyszałem krzyk strażnika: „On nie żyje!”. Ukłęknałem więc. Pobłogosławiłem nieszczęśnika i powiedziałem: *Te absolvo*. Widząc mnie na kolanach, moi towarzysze zaczęli szydzić, ale jeden z nich przeżegnał się, kiedy błogosławiłem zmarłego. Moja kaplica jest pustelnią na ziemi misyjnej; modlitwa jest jej świadectwem. Modliłem się całą noc i Bóg przyjął mojego zmarłego towarzysza. Ekscelencjo, błagam, przywróć mi moją władzę, przynajmniej wewnątrz tego więzienia: tak żeby nikt dookoła mnie nie śmiał się z Twojego

Jacques’a Charlébègue’a, ks.
matrykuła R/1024

P.S. Proszę o mszał, brewiarz i kalendarz liturgiczny.

Generalny wikariusz wyglądał na przygnębionego.

– Jacques Charlébègue, ksiądz – powtórzył. – Dołączył „ksiądz” do swojego imienia, tak jakby nic się nie wydarzyło. Rozgrzeszenie udzielone umierającemu zachowuje swoją moc bez względu na niegodność księdza i nałożone na niego sankcje; jest tak ze wszystkimi sakramentami, my to wiemy i on to wiedział! Posuwa się do tego, żeby żądać mszału, kalendarza liturgicznego i brewiarza; może jeszcze składany ołtarz, ornaty i wszystkie panoplia! Po to, żeby mógł odprawiać mszę! O ile dobrze rozumiem, to prosił księdza biskupa Perrina o zdjęcie z niego cenzury. Jest zdolny posunąć się jeszcze dalej. Może nawet już to zrobił. Niech jego ekscelencja wyobrazí sobie innych więźniów tylko czekających na taką zabawę, na jakąkolwiek rozrywkę, przyłączających się do tej parodii, ksiądz-błazen, śmiechy..

– Dlaczego mieliby się śmiać? – spytał ksiądz biskup Anselmos.
– Dlaczego mamy to zakładać? Czy możemy być pewni, że tak by właśnie było?

Ksiądz kanonik Jacqueline wnikliwie przypatrywał się swojemu staremu biskupowi poprzez dym wydobywający się z fajki. „Łaska Boża, myślał. Odbierze mi Bożą łaskę!”. Ich spojrzenia się spotkały. Zrozumieli się.

– Nie jesteście jeszcze aż tak daleko, mój przyjacielu – powiedział biskup. – Oczywiście, to wszystko jest bardzo bolesne i trudne, ale najpierw powinien był mu odpowiedzieć, po prostu

parę słów, żeby go uspokoić. Cóż to jednak za zbieg okoliczności! Zupełnie jakby Bóg wybrał mordercę na wyrażanie swojego wybaczenia... Jeśli ten nieszczęśnik jest szalony, to skąd możemy wiedzieć, że jego głowa o tym nie majaczy? A jeśli nie jest szalony, to jak nie rozpoznać ręki Boga położonej na czoło tego potwora, bo tak właśnie o nim pan myśli... Czytajmy dalej, panie Jacqueline, jest jeszcze trzeci i ostatni list.

W więzieniu, Clermont-Nivoise, cela 25
30 czerwca 1956

Ekscelencjo,
dlaczego odpowiedź Jego Ekscelencji została powierzona księdzu kapelanowi? Dobrze przecież Ekscelencja wie, że on już mnie nie odwiedza, a ja nie chcę go więcej widzieć. Nawet nie oddał strażnikowi listu od Ekscelencji. Zachował go dla siebie albo zniszczył, a ja znowu nic nie dostałem do Jego Ekscelencji...

Może następnej niedzieli będzie ładna pogoda, jeśli strażnik przyniesie mi to, o co go poprosiłem: hostię i mszalne wino. Ksiądz kapelan będzie odprawiał mszę w kaplicy więziennej, ale ja na nią nie pójdę. W ostatnią niedzielę też nie poszedłem: też z powodu księdza kapelana. Ale tym razem to ja odprawię mszę, w mojej celi. Sam w mojej kaplicy, popełnię ciężki grzech, Ekscelencjo, ale jakie to ma znaczenie w miejscu, do którego doszedłem?! Bóg przyjdzie w niedzielę, dla mnie. Może mi wybaczy?

Jacques Charlébègue, ks.
matrykuła R/1042

P.S. Jeśli mógłby przyjść do więzienia ktoś inny niż ksiądz kapelan i wysłuchać mojej spowiedzi, byłbym bardzo wdzięczny Jego Ekscelencji.

– Jest inna notka księdza biskupa Perrina – powiedział ksiądz kanonik Jacqueline zduszonym głosem: – „Ten człowiek jest nieodpowiedzialny. Dla mnie i w oczach Kościoła nie żyje. Bez odpowiedzi”.

– Dla Kościoła on nie żyje od czterech lat! – powiedział ponuro biskup. – I od tamtej pory nic. Już czas naocznie stwierdzić, jaki jest tego rezultat.

– Po raz ostatni, ekscelencjo – powtórzył generalny wikariusz – moim obowiązkiem jest jego ekscelencję ostrzec. Poruszy ekscelencja to haniebane błoto. Czy wie ekscelencja, w jaką przepaść się zapadnie? Jaką podświadomość obudzi?

– Rzeczywiście, nie wiem. Teraz jestem zmęczony. Odprowadzisz mnie do drzwi? Niełatwo mogę odnaleźć włączniki światła w tym dużym domu. Boję się, że mógłbym się o coś potknąć..

Leżąc z otwartymi oczami, ksiądz biskup Anselmos długo czekał na sen. Starzec w nocy obwinia o to swoją starość. To straszliwa samotność. Modlił się machinalnie, zbyt zmęczony, żeby panować nad swoimi modlitwami. Wzdychał, mówił na głos urywki zdań, które przebijały ciszę pokoju. Kiedy wreszcie zasypiał, usłyszał swoje słowa:

– Boże, celn 25.

Postscriptum

Zmieniłem nazwę wsi, która sześćdziesiąt lat temu stała się sceną tej przerażającej zbrodni, która wstrząsnęła całą Francją, pogrążając wiernych i katolickich duchownych w przepaści skonsternowanych rozważań. Zmieniłem też imię tego, który zamordował, złożył w ofierze, poświęcił. Nazwałem go Jacques'em Charlébègiem, proboszczem z Bief, i stałem się odpowiedzialny za jego życie od momentu jego uwięzienia.

Ta książka jest bowiem *powieścią*. O ile dobrze sobie przypominam jej początki, to nie zbrodni mnie do niej przyprowadziła, ale zamknięcie winnego, młodego księdza, skazanego na dożywocie i jego sam na sam z Bogiem, dzień po dniu, miesiąc po miesiącu, rok po roku, w czterech ścianach jego celi. Kiedy w 1969 roku pisałem pierwsze zdania, minęło dwanaście lat od popełnienia zbrodni i jedenaście lat od procesu. Sprawa była już od dawna zapomniana, a imienia skazanego nigdy nie przywoływano. Nikomu nic nie było o nim wiadomo. Było tak za sprawą swego rodzaju konspiracyjnej ciszy administracji penitencjarnej i rzymskokatolickiego magisterium, które, tak jak Bóg, nigdy nie porzuca swoich upadłych bez względu na to, jak bardzo nikczemne byłyby ich czyny.

Byłem więc sam i pozostałem sam – wobec tej książki, tak jak wobec świętego muru, nieprzekraczalnego, nieosiągalnego, u stóp

którego czułem się bezbronny i niegodny: nie zostaje się przecież Bernanosem tak po prostu...

Z końcem długich tygodni i trzydziestu stroniczek schowałem ten szkic na dnie szuflady i zająłem się czymś innym, książką podróżniczą, z którą wszedłem do domu wydawniczego Roberta Laffonta. Tradycyjnie na końcowej stronie, zatytułowanej *Tego samego autora*, na końcu bardzo skromnej jeszcze listy można było przeczytać: „W przygotowaniu: *Krzyż z Bief – powieść*”.

Oczywiście blefowałem. Jako nieznany pisarz wyobrażałem sobie, że dzięki tej zapowiedzi dodam sobie trochę statury, do której wtedy nie dorastałem. Zapowiedź przeszła niezauważona. Nastąpiły cztery lata zmagania się z wyspami, morzami, zaginionymi ludami, ale nigdy nie zapomniałem o proboszczu z Bief. Skrobałem jakieś notatki nie jako pisarz, który myśli, że „ma dobry temat”, ale dlatego, że człowiek ten zamieszkał we mnie i że przeczuwałem, że w jakiś sposób można zapewnić mu zbawienie. Do rękopisu doszło jakieś czterdzieści stron. Później nic... Tak że kiedy w 1970 roku ukazał się *Punch Caraïbe, explorations et voyages*, na stronie *Tego samego autora*, na końcu listy można było tym razem przeczytać: „W przygotowaniu: *Bóg, cela 25 – powieść*”.

Tytuł się zmienił, doprecyzował. Książka także. Nabrała ciała. Była spójna. Jednak rękopis nie wrócił z szuflady, i tak było przez kolejne trzydzieści lat...

Trzydzieści lat, dwadzieścia dwie wydane książki albo szesnaście powieści i sześć książek podróżniczych, *grand prix* za powieść i literacka *grand prix* Akademii Francuskiej imienia księcia Pierre’a de Monaco, nagrody Jeana Giono, Chateaubrianda i parę innych, T.S. Eliot Award w Chicago... Z wiekiem wzrosłem, a jednocześnie, równolegle, Jacques Charlébègue, proboszcz z Bief, który przypominał się od czasu do czasu mojej pamięci i podążał we mnie ku swojemu zbawieniu, ale nie powstawała ani jedna więcej linijka rękopisu. Aż do dnia, kiedy wiosną w 2003 roku powierzyłem go jednemu z moich przyjaciół, księdzu w diecezji Évry.

Ojciec Christian-Philippe Chanut ukończył seminarium w Rzymie, z którym zresztą zachował dobre kontakty. Erudyta o wysokiej kulturze, historyk, teolog, egzorcysta, obdarzony wiarą

katolicką bez skazy i niezwykłą elokwencją, równie prostą, co komunikatywną, z taką dozą zdrowego rozsądku i bystrej inteligencji, żeby prowadzić ten znamienity zaprzęg poprzez posoborowe zawirowania (Sobór Watykański II), i to z całą swoją skromnością. Proboszcz trzeciorzędnej parafii Sault-les-Chartreux, „zatrudniony poniżej swoich kwalifikacji” przez władze kościoła, podwoił liczbę jej wiernych. Choć szczególnie o to nie zabiegał, jego kościół był wypełniony po brzegi. Czasem z bardzo daleka przybywano na niedzielną sumę po to, by móc go słuchać i przyjmować Komunię z jego rąk. Odnajdywano w nim coś z proboszcza z Ars albo jeszcze z ojca Mugniera.

Zmarł trzy lata temu. Brakuje mi go. Należę do setek jego nadliczbowych parafian, którzy dzięki niemu nie ustąpili przed ostatecznym zwątpieniem. Chciałem skorzystać z tego *postscriptum*, żeby oddać mu cześć.

Kiedy zwracał mi mój rękopis, w parę dni po jego przeczytaniu, w Sault-les-Chartreux, w niedzielę po Nieszporach odprawionych w pełnym ludzi kościele, nie potrzebował długich zdań, żeby do mnie mówić. Zachowam dla siebie to, co mi powiedział, z wyjątkiem ostatnich słów: „Proszę, proszę, niech pan pisze dalej!”.

Pisałem więc dalej, wracając do Jacques’a Charlébègue’a z pewnym lekliwym poczuciem szczęścia, które okazało się świetnym stymulantem. Kreśliłem, uzupełniałem, zmieniałem architekturę opowieści, przechrzcilem ją na *Miłosierdzie* i wprowadziłem inne postaci, przede wszystkim adwokata, który broni proboszcza z Bief przed ławą przysięgłych, a dzięki temu, że jest narratorem, mogłem ukazać różne perspektywy, które prowadziły mnie ku światłu. W ciągu trzech miesięcy napisałem osiemdziesiąt dwie strony, w sumie sto pięćdziesiąt dwie.

Pod koniec listopada 2003 roku na 152 stronie światło zgasło, ale nie inspiracja. Dokładnie wiedziałem, w którą stronę mam się udać i jak zakończyć tę książkę. Ale za jaką cenę! Mierząc się z tą odpychającą przeszkodą, z najwyższą szczytową krawędzią muru... Po raz trzeci utknąłem, ale tym razem już ostatecznie, z mojej własnej woli, i nie ma żadnego powodu, dla którego miałbym to tłumaczyć. Tak po prostu jest. *Miłosierdzie* jest niedokończoną książką, której brakuje jakichś czterdziestu stron, które nigdy nie zostały napisane. Niedokończoną i nieredagowaną: nigdy by mi

nie przyszło do głowy, żeby proponować ją taką właśnie, nieukończoną, redaktorowi. Ale myślę, że dzisiaj, na samym końcu peletonu moich sześciu powieści, w poniższym tomie kolekcji „Bouquins” odnalazła swoje miejsce.

Jeszcze tych kilka linii. W Mszy katolickiej, zaraz po kanonie następuje pewna bardzo krótka, melodyjna i piękna modlitwa, którą w mojej młodości, jak i dzisiaj bardzo rzadko śpiewa się po łacinie. Śpiewałem ją jako dziecko, solo, sopranem, w święta, kiedy bito w dzwony na galerii bardzo ładnej kaplicy, dzisiaj ogołoczonej, w mojej szkole w Normandii. Zdaje się, że miałem „anielski głos” i że moi profesorowie uważali, że na niego nie zasługuję.

Jeszcze dzisiaj często ją sobie nucę. Oto jej pierwsze słowa:

Domine, non sum dignus... ■

Jean Raspail, styczeń 2015

Tłum. Martyna Borowicz